

H. Priester

Blue Ländchen: o miłości i ziemi

Nikt nie spodziewał się tak srogiej zimy. Lód na rzece Łebie był na tyle gruby, że sanie bez problemu mogły po nim przejechać. Korzystali z tego mieszkańcy Krępy, Gęsi, Wolini oraz innych okolicznych miejscowości.

Pewnego grudniowego dnia dziedziczka Bergellowa z Krępy pojechała w odwiedziny do rodziny von Puttkamer, właścicieli Wolini. Zmrok zapadał teraz szybko. W drodze powrotnej, Anna Bergell postanowiła skrócić drogę i przejechać bezpośrednio przez rzekę. Niestety, nie zauważyła wykutej w lodzie ogromnej przerębli. Konie przeskoczyły nad wodą, lecz sanie obsunęły się do otworu. Bezradna, ciężarna kobieta wpadła do lodowatej wody.

Na szczęście nieopodal przejeżdżał chłop z Krępy, który dostrzegł tragedię. Zadziałał bardzo szybko, ale właścicielka była już nieprzytomna. Maciej Berch opatulił ją w swój własny kozuch i popędził do domu.

Na miejscu jego żona, Ewa, która była miejscową zielarką i znachorką, uratowała dziedziczkę. Jednak, jak się potem okazało, nie był to koniec przygód na ten dzień. W środku nocy wszystkich obudził przeraźliwy krzyk. Okazało się, że właścianka Bergellowa zaczęła rodzić. Żona Macieja zaopiekowała się ziemianką.

Następnego dnia rano chłopka powiedziała:
- Mości pani dziedziczko, niestety, dziecko nie przeżyło nocy.

Maciejowa sama nie mogła mieć dzieci, bardzo jednak chciała. Teraz zobaczyła, że nadarza się okazja, by jej marzenie się spełniło. Dziedzicze zakręciła się łza w oku, lecz po chwili odetchnęła jakby z ulgą.
- Skoro dziecko pochodziło z nieprawego łóża, to może i lepiej. Wam, drodzy Berchowie, dziękuję za pomoc i uratowanie choć mojego życia.

Mijały lata. Chłopak, mający w połowie korzenie pruskie, a w połowie polskie, otrzymał imię Jan. Rósł jak na drożdżach. W gospodarstwie Maciej nauczył go, jak uprawiać rolę. W domu wpajano mu też miłości do ziemi. Już od najmłodszych lat chłopiec lubił się w niej bawić. W stodole miał półkę, gdzie zbierał różne jej rodzaje. Pisać nauczył go jego wuj – ksiądz.

Gdy pewnego dnia, już jako nastoletni chłopak, wyszukując na tzw. „łakach” pewien gatunek torfu, zobaczył młodą pannę Bergell powracającą z Wolini, coś go ukuło w sercu.

Przez następny rok prawie nie spuszczał dworku z oczu. W końcu nie wytrzymał i postanowił podejść do krzątającej się wokół domostwa dziewczyny. Ta jednak spojrzała na niego wyniośle, a później - nic nie mówiąc - obróciła się i poszła. Od tej pory Jan Berch chodził jak struty. Jego półka z ziemią zarosła kurzem. Ewa i Maciej, mimo że byli biedni, postanowili wysłać syna do szkoły, gdzie mógłby się doksztąpić. Jako, że oni by nic nie mogli zrobić, poprosili o pomoc brata Macieja – księdza z Lauenburga.

Gdy po czterech latach Jan wrócił na stałe do domu, w jego głowie zaczęła kiełkować myśl o miejscu, gdzie to ziemia byłaby najważniejsza. Młoda Bergellowa, wiedząc o jego wykształceniu, zaczęła patrzeć na niego coraz życzliwiej.

W pewnym momencie Jan przyszedł do rodziców i powiedział:

- Państwo Bergell już wydali zgodę. Teraz chcę prosić o wasze pozwolenie i błogosławieństwo, bym ożenił się z panną Bergell.

Ewa Berch zapłakała i przez łzy wyszeptała:

- Nie możesz tego zrobić. To twoja siostra.

Jan stał i nic nie mógł powiedzieć. W tym czasie Maciejowa opowiedziała mu historię tamtej grudniowej nocy. Wieczorem powtórzyła ją państwu Bergell. Dla wszystkich był to ogromny szok. Z początku szlachcianka uniosła się gniewem, jednak potem złagodniała. Jan cieszył się, że prawda wyszła na jaw. Już następnego dnia odkurzył próbki ziemi i powrócił do swojej pasji. Żyjąc w chłopskiej rodzinie, nie mógł liczyć na zrealizowanie marzeń. Teraz zabrał się do tego z nowym zapałem.

Dzięki uczciwej pracy oraz wsparciu rodziny von Bergell, w niedługim czasie to, co było do tej pory snem, stało się jawą. W połowie murowany, a w połowie przekształcony w szklarnię budynek, rósł w oczach. Stał przy brukowanej drodze do Landechow. Był wielkości sporej stodoły i tak był oznaczany na mapach. W środku jednak mieściły się próbki ziemi z terenu całego Pomorza. Po pewnym czasie Jan ożenił się z Marią Fliessbach, właśnie z Landechow. Doczekali się piątki dzieci. Szóste natomiast zaadoptowali. Syn nazywał się Henryk. Od najmłodszych lat towarzyszył przybranemu ojcu w jego „szopie doświadczalnej”. Jan przekazywał mu całą swoją wiedzę. Niestety, skończyło się to tragicznie.

Pewnej burzowej nocy w budynek uderzył piorun. Śpiący w nim Jan zginął. Wdowa po nim postawiła lipowy krzyż nieopodal miejsca tragedii. Na wiosnę następnego roku z dwóch belek wystrzeliły zielone gałązki. Jednak Maria tego nie mogła zobaczyć. Miesiąc wcześniej spoczęła obok prochów swego męża.

Żył jednak Henryk i postanowił kontynuować dzieło ojca. Przy współpracy z prezydentem Pomorskiej Izby Rolnej wybudował Instytut Torfowy. Nie wiedział, że za kilka lat, to miejsce będzie znane na całą Europę. Mimo że nie był

dyrektorem, on trzymał pieczę nad Instytutem w Poraju. Dla niego jednak, nie była ważna sława. Najważniejszym było to, że zrealizował marzenia człowieka, którego kochał jak własnego ojca. Poraj był jednym z kilku miejsc na naszym kontynencie, gdzie ziemia stała na pierwszym miejscu.

W ten sposób łączą się: wieś Krępa, stara lipa i Instytut w Poraju. Nad tym wszystkim króluje miłość. Miłość do ziemi oraz miłość do swojej małej ojczyzny, do niezapomnianej Blue Ländchen, której wielu poświęciło swoje serce i życie.

"Legenda o pewnym pomocnym duchu"

Dawno, dawno temu, w małej wsi zwanej w tamtym czasie Chotzlow, obecnie Chocielewko, rozpoczęto budowę pewnego małego, ale jakże magicznego kościoła. Okolice otaczały drzewa obrośnięte bluszczem, zaś rozmaite krzewy oraz piękne kwiaty zdobiły wzgórze. Niedaleko znajdowały się rozległe pola uprawne oraz mały staw pełen ryb.

Środki na budowę owej kaplicy zbierali już chłopci w czasie I wojny światowej. Po jej zakończeniu, dzięki pomocy i wsparciu feldmarszałka generalnego Augusta von der Mackkensa, wzniesiono Kościół Pamięci według planów nadradcy budowlanego Kicktona. Budowa trwała 4 lata. Wielu było w nią zaangażowanych. Niestety, jedno z robotników zginęło śmiercią tragiczną podczas prac. Jego grób znajduje się obecnie przed kaplicą. W kuli na szczycie wieży znajdowały się zaś dokumenty z czasu budowy. Kościół był prosty w formie, natomiast jego kolory i wyposażenie bardzo efektowne.

Wspomniany robotnik postanowił jednak nie rozstawać się z miejscem swojej śmierci i ową okolicą. Zamiast spokojnego życia w niebie, wybrał dla siebie inny los. Zdecydował, że od tamtej pory będzie czuwał nad porządkiem i bezpieczeństwem na terenie kaplicy. Tak też uczynił. W Chocielewku (dawniej Chotzlow) msze święte odbywały się codziennie o godzinie 7 rano. Za przygotowania do nabożeństwa odpowiedzialny był ksiądz. Przychodził on zawsze na godzinę przed uroczystością, aby nakryć ołtarz, przygotować hostię, szaty oraz zapalić świecę. Raz w tygodniu wraz z okoliczną ludnością porządkował wnętrze kościoła i pobliski cmentarz. Wszyscy byli bardzo zaangażowani. Jakież było jego zdziwienie, kiedy pewnego dnia okazało się, że jego codzienne obowiązki wykonał ktoś inny. Całość była perfekcyjnie przygotowana. Kapłan początkowo myślał, że ktoś z mieszkańców lub ministrant wyręcza go z racji jego sędziwego wieku. Dopytywał wszystkich, jednak nikt nic nie wiedział. Kiedy zbliżał się dzień Wielkiego Czwartku, duchowny postanowił przybyć jeszcze szybciej, by jeszcze dokładniej się przygotować do nabożeństwa. Duch czuwający nad porządkiem w kaplicy niczego się nie spodziewał. Gdy ksiądz udał się do zakrystii, ujrzał krzątającą się tajemniczą, półprzeźroczystą postać, przypominającą ducha. Gdy ten się zorientował, zniknął natychmiast. Kapłan nie wierzył własnym oczom. Myślał, że ma zwidy, ale pomimo tego postanowił rozwikłać tę zagadkę. Następnego dnia przyszedł do kościoła jeszcze

szybciej i postanowił ukryć się w szafie na sutanny. Zaczaił się, aby nakryć tajemniczą postać. Duch robotnika niczego nie podejrzewał i jak co dzień przed mszą rozpoczął swe przygotowania. W chwili, gdy ten udał się na zakrystię, kapłan postanowił go zdemaskować. Wyskoczył z szafy wprost na niego. Tym razem nie było już szans na ucieczkę. Stali na wprost siebie i przyglądali się sobie z niedowierzaniem. Proboszcz ujrzał jakby za mgłą dwudziestoparoletniego młodzieńca. Miał on czarne włosy, umięśnioną sylwetkę oraz krótką brodę. Jego ręce wyglądały na bardzo zniszczone pracą. Biła od niego jednak bardzo pozytywna energia, która uspokoiła napiętą sytuację.

-Kim lub czym jesteś? - zapytał duszpasterz. - Czy to ty jesteś odpowiedzialny za to wszystko?

-Jestem duszą zmarłego tu przed laty podczas budowy robotnika. Ten kościół zawsze był bliski mojemu sercu. Postanowiłem, że zadbam o niego i będę go strzegł z całych swoich sił - odpowiedziała zjawa.

- A więc to ty wyręczasz mnie w moich obowiązkach? - dopytywał dalej proboszcz.

-Owszem - przyznał duch.

Tak właśnie zaczęła się znajomość między młodzieńcem a kapłanem. Codziennie przed mszą, wspólnie wykonywali przygotowania.

Pewnego razu jeden z ministrantów pojawił się w kościele szybciej niż zwykle. Nie wierzył własnym oczom, gdy ujrzał, jak duchowny rozmawia ze zjawą. Od razu po tym odkryciu, przestraszony udał się do domu. O tym, co zobaczył, opowiedział całej swojej rodzinie, sąsiadom i przyjaciołom. Oni natomiast rozgłosili historię na całą wieś. Wkrótce po tym sprawą zaczęła interesować się nawet gazeta. Każdy chciał zobaczyć na własne oczy, czy opowiedziana przez mężczyznę historia jest prawdziwa. Nikomu nie dawało to spokoju, więc postanowili zapytać samego księdza, który opowiedział o tej sprawie podczas jednego ze swoich kazań.

Wiejska legenda o pomocnym duchu stała się znana w całym kraju. Na msze zjeżdżali się ludzie z całej Polski. Kościół w Chocielewku stał się sławny i każdy o nim mówił. Dzięki hojnym datkom zbieranym z tacy odnowiono kaplicę oraz postawiono okazały pomnik zmarłemu robotnikowi. Stoi tam do dzisiaj dnia i często jest odwiedzany przez turystów. Składają na nim kwiaty i zapalają znicze. Pomimo tego, że duch

zaznał już spokoju w grobie i mógł tam odpocząć, w dalszym ciągu przychodzi, aby pomagać w przygotowaniach do mszy. Czasami też można dostrzec palące się światło, które gaśnie tuż przed nabożeństwem. Tak oto kończy się "Legenda o pewnym pomocnym duchu". Kto wie może kiedyś i nam uda się sprawdzić, czy jest prawdziwa?

DUCH

II miejsce: Martyna Bartanowicz

Godło: UwU

Stilo

13 - 15

Syreny od zawsze były gatunkiem wzbudzającym zainteresowanie ludzi. Narastało wokół nich mnóstwo teorii, mitów i legend. Miały być one piękne, jednak jednocześnie nie miały one posiadać ani duszy, ani serca.

W tym momencie przenosimy się na północ kraju leżącego nad morzem, dziś znanym jako morze Bałtyckie. W małej rybackiej wiosce leżącej nad nieistniejącym dziś Morzem Choczewskim opowiadano legendy dotyczące tych niesamowitych stworzeń. Działo się tak, ponieważ na środku owego morza na niewielkiej głębokości znajdowało się mniejsze królestwo syren. Owe królestwo zamieszkiwały same syreny. Nie było tam żadnych trytonów. Jednym z mitów krążących we wiosce było to, iż absolutnie każda syrena potrafi śpiewać tak pięknie, że rybacy będący akurat w rejsie w poszukiwaniu szczęśliwych łowów, nie potrafiąc się oprzeć, rozbijali swe statki i zostawali pożarci przez wygłodniałe syreny. Była w tym tylko połowa prawdy, dlatego że tylko jedna na sto syren otrzymywała dar śpiewu tak urokliwego. Taka syrena z miejsca była uznawana za świętość i ogłaszana królową i przywódczynią polowań. Z jedną legendą można jednak się zgodzić całkowicie - syreny były niesamowicie pięknymi i ponętymi kobietami o lśniącem rybem ogonie w kolorze morskiej aury. Jednak zarówno ich kolory skóry jak i włosów miały rozmaite odcienie - od czarnego jak słoma do białego jak piana morską, w którą każda syrena po kilkuset latach życia zamieniała się w chwili śmierci. Mimo że syreny posiadały ludzką górę ciała, to na szyi posiadały oskrzela a na twarzy łuski. Jedną z takich syren była Stilo-córka aktualnej królowej Stimo, która z racji odziedziczenia daru pięknego śpiewu była przyszłą następczynią tronu. Włosy miała ona długie i kręcone o kolorze krwistoczerwonym, oczy jasnoszare, prawie że białe, a usta i łuski na twarzy czarne jak najczarniejsze, niewidoczne dla człowieka odmęty mórz i oceanów. Kolor skóry natomiast miała kremowy, dość ludzki jak na syrenę. Miała ona jednak pewien sekret - jej dożgonną i najbliższą przyjaciółką była córka pobliskiego rybaka. Codziennie rano wypływała na powierzchnię morza. Musiała jednak pamiętać, aby przed wypłynięciem wysmarować się śluzem ślimaka morskiego, inaczej jej skóra po kilku minutach kontaktu ze słońcem mogłaby się wysuszyć i zmienić się w proch, który zostałby potem rozwiany przez wiatr w nieznane jej zakątki świata.

O owej przyjaźni miała jedynie pojęcie jej matka, gdyż obiecała ona córce, że nie będzie polować na statek ojca owej przyjaciółki. Wypływając jednak na ostatnie spotkanie, Stilo była pełna smutku, ponieważ według królewskiej tradycji każda królewska syrena w wieku stu szesnastu lat miała przejąć władzę i odtąd dowodzić polowaniami, a w wieku stu siedemnastu lat - wyruszyć do

sąsiedniego królestwa, aby spośród kandydatów wybrać trytona, z którym miała spłodzić przyszłego dziedzica tronu. Po urodzeniu się przyszłego dziedzica, zależnie od płci, dziecko zamieszkiwało z jednym z rodziców, a para już nigdy więcej się nie spotykała. Sto szesnaste urodziny Stilo miały być za mniej niż 3 miesiące. Kiedy żegnała się z przyjaciółką, żal i gorycz wypełniły ją od środka. Kiedy zanurzała się z powrotem, jej matka wezwała ją na rozmowę. Poinformowała ją, iż nie zamierza dłużej ustępować ojcu jej przyjaciółki, gdyż jego załoga dostarczyłaby im mały aczkolwiek jakiś zapas jedzenia. Stimo, mimo kłótni z córką, nie ustąpiła. Stilo chwilę później usłyszała wypowiedziane komendy przez jej matkę, które zwiastowały polowanie. Stilo w tym momencie uświadomiła sobie, iż jej przyjaciółka od jakiegoś czasu wraz ze swym ojcem wyruszała na łowy. Wyszukała najbardziej połyskujący kamień, jaki mogła znaleźć i wypłynęła na plażę. Wiedziała, że nie jest zabezpieczona przed słońcem, jednak to było dla niej ważniejsze. Wspięła się na najbliższy pagórek, po czym ustawiła kamień pod słońcem tak, aby połyskiwał na słońcu. Z daleka dostrzegła statek rybacki, który zaczął skręcać jej stronę. W tle słyszała znajomy syreni śpiew. Powoli czuła, jak jej skóra zaczyna się spalać na słońcu. Kiedy statek dobił bezpieczny do brzegu, przyjaciółka Stilo domyśliła się, co się wydarzyło, natomiast kiedy wbiegła na pagórek, po Stilo pozostało tylko prochy, które po chwili rozwiął wiatr.

W miejscu, gdzie znajdowały się prochy, po kilku latach wybudowano latarnię w barwach czerwonym, białym i czarnym. Na cześć bohaterskiego czynu nazwano ją „Stilo”. Matka Stilo po wiadomości o tragicznej śmierci swego jedyne dziecko zmarła z powodu żałoby. Syreny nieposiadające daru śpiewu zaczęły zamieszkiwać coraz głębsze zakamarki morza. Zaczęły również żywić się mniejszymi stworzeniami morskimi. Jednak schodząc coraz niżej, stawały się one coraz bardziej szpetne. W końcu, kiedy dotarły do tak niskiego poziomu, gdzie żaden człowiek nie mógł się dostać, były tak oszpecone, że z pięknych syren zmieniły się w obślizgłe potwory morskie. Po kilku wiekach morze przez liczne susze wyschło całkowicie a wioska została opustoszała. Dziś to miejsce zwie się Choczewo, a teren wokół latarni porósł gęsty las. Latarnia jednak pozostała jako znak przyjaźni i poświęcenia młodej syreny Stilo.

II miejsce: Adrianna Lubińska

13-15

alubiska

O miłości syna młynarza

...Przed I wojną światową, w miejscowości Wrzeście, znajdował się młyn. Spłonął w 1912 r. Mieszkańcy mówią, że wiąże się z nim pewna historia miłosna, dokładniej: dzieje nieszczęśliwej miłości Henrika i Greta. Ta dwójka była w sobie bardzo zakochana, lecz nie dane było im spędzić razem życia.

Nasza historia sięga listopada 1911 roku. W dniu otwarcia szkoły we Wrześciu, Henrik ubrał się ciepło, ponieważ jak na początek listopada było wyjątkowo zimno. Wychodząc z domu, poszedł pożegnać się z mamą.

- Miłego dnia, Henrik, uważaj na siebie i bądź grzeczny! – powiedziała mama, gdy wychodził z domu.

Nastrój wszystkich dzieci był świetny. W pewnym momencie chłopak zauważył piękną, blondwłosą dziewczynę. Znał ją już wcześniej. Nazywała się Greta, była córką miejscowego sędziego i zapewne nie miała pojęcia o jego istnieniu. W pewnym momencie obróciła się, a ich spojrzenia się skrzyżowały. Uśmiechnęli się delikatnie do siebie.

- Witaj, jestem Henrik, syn tutejszego młynarza. Podobno będziemy razem w klasie.

- Och... Witaj, jestem Greta. Tak się cieszę, że w końcu mamy szkołę i nikogo nie znam, więc może się zaprzyjaźnimy? - odpowiedziała dziewczyna z anielskim uśmiechem.

Mijały dni, miesiące i lata, a Henrik nie potrafił wyznać Grecie, jak bardzo ją kocha. Nie miał na to odwagi, więc zaczął pisać listy, które później umieścił w swojej tajemnej skrytce w młynie. Jego potajemna miłość była wielka. Zawsze bronił Greta przed innymi, wysłuchiwał jej smutków i radości. Starał się, aby ona również go pokochała. Ale wiedział, że nie dojdzie to do skutku, ponieważ jej ojciec był przeciwny jakiegokolwiek znajomości. Pochodzili bowiem z różnych sfer społecznych. Młodzi nie patrzyli jednak na to, bo gdy byli razem, stawali się jednością. Miłość Henrika z dnia na dzień stawała się coraz większa, coraz bardziej dojrziała. Jego listy, pisane do Greta, świadczyły o tym, jak wielkim szacunkiem i uczuciem ją darzył...
- ...Byli przecież tacy młodzi - pomyślałam, słuchając opowieści mojej babci.

Postanowiłam udać się w miejsce, gdzie kiedyś znajdował się młyn. Zobaczyłam lekkie wzniesienie, które było widoczne na zdjęciach starego, poniemieckiego młyna. To tu kiedyś znajdował się jego mechanizm. Minęło ponad sto lat od jego spalenia, przeżył dwie wojny światowe, a ja, wsuwając tam rękę, poczułam lekkie zawiniątko. Pudełko, choć całe zniszczone, wyraźnie miało coś w środku. Były to listy pisane to niemiecku, wskazywały na to układ wiersza i datowanie na końcu: 1910, 1911.

- To sensacja na miarę powiatu, a nawet województwa! - powiedziałam sama do siebie.

Wraz z listami udałam się do znajomego tłumacza, któremu oczywiście musiałam przedstawić całą tę niesamowitą historię. Z listów wyraźnie wynikało, że syn miejscowego młynarza imieniem Henrik podkochiwał się w koleżance z miejscowej szkoły imieniem – Greta. Olśniła go już swą urodą w listopadzie 1911 roku, przy okazji otwarcia nowego budynku szkoły we Wrześciu. Nie miał jednak odwagi przedstawić jej swych uczuć.

Tak legenda stała się rzeczywistością. Z treści ostatniego listu wynikało, że Greta odeszła z tego świata jeszcze przed pierwszą wojną światową, a Henrik nie zdołał powiedzieć, jak bardzo ją kochał. Została pochowana na miejscowym cmentarzu, znajdującym się niedaleko dzisiejszego Charbrowskiego Młyna.

Wzięłam te listy do domu, chodź nie bardzo wiedziałam, co z nimi zrobić. Różne myśli kołatały mi się w głowie.

- Muszę to chyba przespać... – pomyślałam. Nad ranem doznałam olśnienia. Udałam się na stary ewangelicki cmentarz, gdzie wyróżnia się tablica pamięci niemieckich żołnierzy poległych podczas I wojny światowej.

- Może te wszystkie zdarzenia nie są przypadkowe... – szukałam pełnym nadziei wzrokiem grobu Greta.

Nagle kopnęłam w coś twardego. Zaczęłam gorączkowo odsypywać ziemię z marmurowej płyty, na której (choć mocno zniszczonej) coraz wyraźniej litery układały się w napis: G-R-E-T-A. Tak to musi być miejsce jej spoczynku. Postanowiłam, że właśnie tutaj zostawię te listy. Przecież to ona była ich adresatem, więc niech po śmierci pozna ich treść...

Od tej pory, wraz ze znajomymi dbamy o to miejsce, porządkując je i czyszcząc w ramach prac społecznych, bo - jak widać - historie, które skrywa ta ziemia, mogą być naprawdę niesamowite.

II miejsce: Maja Tarasiewicz

godło: Magnolia

Legenda o jeziorze Lubowidzkim

Posłuchaj uważnie. Tak. W tym jeziorze mieszkają rusalki. W naszych lasach też. Tak samo jak na polach i łąkach. Mieszkają tam od zawsze.

Przestaniesz się wierzyć? Och, na bogów! Nie znam drugiej takiej wierciپی.

Nie, kotku, nie widziałam ich od wielu lat. Od zawsze robiliśmy wszystko, co tylko możliwe, żeby ich nigdy nie spotkać. Niestety, jak wiesz, nie udało się.

Tak, wiem, że to straszne.

Nie każ mi tego mówić. Zresztą i tak już wiesz.

Opowiedzieć ci jeszcze raz? Tylko potem nie narzekaj na nocne koszmary.

Wiele, naprawdę wiele lat temu... Tak, skarbie, jeszcze przed wojną. Piękne to były czasy.

No więc, kiedyś, pewien młodzieniec, wybrał się na spacer nad jezioro. Nie, do dziś nikt nie wie dlaczego. Zresztą, jakie ma to znaczenie? Piękny był to chłopak, miał włosy takie jak twoje. Złociste niczym słoma. Miał za sobą dwadzieścia wiosen.

Mówił nam, że widział dziewczynę. Prześliczną, z cudownym głosem. Właśnie nad tym jeziorem zachowywał się... dziwnie. Chodził jakiś rozkojarzony - niezbyt się tym wtedy przejęliśmy. Poszedł nad jezioro następnego dnia. I kolejnego również.

Za każdym razem przychodził stamtąd jakiś taki nieobecny. Jego wizyty nad wodą wkrótce stały się codziennością. Ojciec, niech bogowie strzegą jego duszy, bardzo się wtedy denerwował. Groził, że wyrzuci go z domu. Oczywiście nigdy tego nie zrobił. Za bardzo go kochał.

Miałam wtedy dwanaście lat. Martwiłam się o brata, więc pewnego dnia postanowiłam go śledzić. Poszłam za nim nad to przekłete jezioro. Schowałam się w krzakach i go obserwowałam. Spędziłam tam całą noc.

Najpierw zauważyłam dziwne kolorowe światła, które krążyły nad taflą jeziora. Później wymurzyła się stamtąd dziewczyna. Nucila jakąś dziwną melodię. Lubowidz szedł w jej stronę prosto do wody. Wyglądało to tak, jakby go przyciągała. A on szedł, jak zaczarowany.

Och, skarbie, oczywiście, że się bałam. Miałam zaledwie dwanaście lat. Chciałam uciec, ale obawiałam, że ten potwór mnie zauważy.

Kiedy mój brat doszedł do rusalki, utopiła go. Tak, dziecko, tak po prostu zanurzyła go pod wodę. A potem obróciła się w moją stronę, uśmiechnęła się szeroko i zniknęła. To było przerażające. Wstałam i uciekałam do domu.

Gdy opowiedziałam o tym rodzinie, nikt mi nie uwierzył. Dopiero dwa dni później, ojciec z innymi chłopami poszli szukać ciała.

Nie, kotku, nigdy go nie znaleźli. I czego płaczesz? Już, już uspokój się.

Tak, od jego imienia nazwali to jezioro - Lubowidz.

A teraz idź, mam dużo pracy. Głupie dziecko.

III miejsce: Michał Kondratko

M

W łęczyńskim grodzie, w noc świętojańską...

Było to dawno temu, już nikt dokładnie nie pamięta kiedy. Nad łęczyńskim grodem, gdzieś nieopodal Świetlina, wzeszło piękne słońce.

Książę Długosław znowu rozmyślał o swojej narzeczonej Karolinie. W niedalekiej przyszłości miał się z nią ożenić i wieść z ukochaną, w grodzie na skraju sosnowego lasu, dostatnie życie.

Zbliżała się Noc Świętojańska. Księżniczka bardzo kochała ten najbardziej tajemniczy dzień w roku. Chcąc zrobić prezent swojej ukochanej, Długosław postanowił zorganizować wielką ucztę z ogniskiem. Wiedział, że musi postarać się, aby wszystko wyszło idealnie. Karolina, najbardziej lubiła świetliki, dlatego Książę zorganizował uroczystość nad jeziorem, gdzie tych było mnóstwo. Zaprosił też gości z innych grodów.

Było ciepłe popołudnie, a może to był już wczesny wieczór nocy świętojańskiej, gdy do grodu zaczęli zjeżdżać się goście. Karolina, bardzo podekscytowana i szczęśliwa, że może być w tym dniu ze swoim narzeczonym. Poszła z nim nad jezioro, gdzie czekało tam na nich wielu zaproszonych przybyszy.

Podczas zabawy i uciechy zaczęły pojawiać się świetliki. Książę doskonale wiedział, że owady lubią przesiadywać na paprociach, które rosły wokół torfowego jeziora. Była już ciemna noc, a wszyscy ciekawscy chcieli zobaczyć iskierki z ogniska i tańczące wkoło jeziora świetliki. Wielu, w tym Długosław udali się na pomost nad jeziorem. Książę wbiegł jako pierwszy, gdy nagle... deski zaskrzypiały i trzasnęły pod jego ciężarem. Pomost się zawalił. Książę nie przewidział tego, że mostek może być już na tyle stary i spróchniały. Ciemność rozpraszały tylko świetliki, więc nie było wiele widać. Książę utonął w torfowisku.

Rankiem następnego dnia wyłowiono ciało Długosława. Po pogrzebie Karolina pogrążyła się w żałobie. Nad torfowym jeziorem przesiadywała kolejne dni i wypłakiwała wiele łez. Z ziemi podlanej jej łzami wyrosły piękne paprocie, które zimą obumierają, aby na wiosnę znów odrosnąć.

Tak, co roku, na nowo odradza się miłość Długosława do swojej pięknej narzeczonej Karoliny. W noc świętojańską, nad największym z paprotników, Długoszem Królewskim tańczą świetliki. Wszyscy powtarzają, że to książę Długosław w tej oto chwili ślubuje swojej ukochanej Karolinie i zaprasza ją do pierwszego wspólnego tańca. Nad jeziorem, wśród mokradeł, torfowisk, nad łęczyńskim grodem...

Wyróżnienie: Nikodem Barcz

godło: Jaskier

Legenda o żabkach

Dawno, dawno temu w Lęborku żył człowiek o imieniu Milas. Miał on pewien niezwykły dar, zamieniania wszystkiego co dotknął w kamień. Pewnego dnia w Lęborku pojawiła się plaga żab. Burmistrz zdecydował dać sto tysięcy dublonów za wypędzenie żab z miasta. Było wielu śmiałków, którym się to nie udało. Po wielu nieudanych próbach nadszedł wspomniany na początku Milas. Jego planem było wybudowanie małego stawu i zwabienie do niego żab. Kiedy już wybudował ten stawik, wszystkie żaby przybyły do niego, aby zakosztować w nim kąpieli. Gdy żaby w najlepsze się kąpały, on pozamieniał je wszystkie po kolei w kamień. Ze stawiku stworzył fontannę i postawił na niej osiem kamiennych żab. Resztę żab zabrał i sprzedawał je na targu, jako ozdoby do ogrodu. Dzięki dublonom zarobionym ze sprzedaży figurek, żył dostatnio do końca swego żywota. Do dzisiaj zwiedzający Lębork, mogą podziwiać piękną fontannę, którą zostawił nam Milas.



Kacha

Legenda o nawiedzonym wiatraku

Dawno temu, jeszcze przed II wojną światową, w niewielkiej miejscowości na północy Polski, żyła dość uboga rodzina, nosząca nazwisko Kunostowicz. Ojciec był piekarzem, całe dnie spędzał na wytwarzaniu pieczywa, aby jego dzieci i żona miały co jeść. Żeby zarobić dodatkowe pieniądze, zajmował się ścinaniem i sprzedażą dębowych, bukowych i sosnowych drzew. Matka i pięć dzieci spędzały czas w domu. Często najstarszy syn - Julian - pomagał ojcu w zbiorach na polu oraz w układaniu drewna. Rodzina toczyła dość spokojne życie, mieszkając w murowanym wiatraku, dość oddalonym od centrum osady. W każdy poranek ojciec i Julian przynosili do domu ciepłe bułki i chleb wieloziarnisty. Wszyscy domownicy zachwycali się wyrobami, które zawsze były świeże i pyszne.

Pewnego dnia Julian, jak zawsze, pomagał tacie w zbieraniu ziaren z pola znajdującego się dość daleko od wiatraka. Była wiosna. Na niebie świeciło jasne słońce, w oddali było słychać śpiewające ptaki, a rośliny budziły się do życia. Nic nie wskazywało na to, żeby pogoda miała się zmienić.

Kiedy Julian zaczął wybierać z ziemi małe, okrągłe ziarenka, na niebie pojawiła się błyskawica. Chłopiec bardzo się przestraszył. Zaczął padać deszcz i wiać silny wiatr. W oddali słychać było dźwięk spadających na ziemię drzew, które były przeznaczone do wycinki.
- Tato, gdzie jesteś?! - zawołał przerażony chłopiec. Ojciec nie odpowiadał.

Julian zaczął szukać swojego taty, jednak przed oczami widział tylko ogromne, gęsto spadające z nieba krople deszczu. Zatrzymał się w ostatniej chwili - ogromny dąb runął zaledwie parę metrów przed nim. Pomimo, że drzewo było dość stare i porobiło się w nim wiele dziur, było na tyle ciężkie, że Julian nie dał rady go przesunąć ani podnieść.

Młodzienczek zawrócił i pobiegł w stronę wiatraka, jednak ten był już całkowicie zniszczony. Gdy zbliżył się bardziej do swojego domu, w środku ujrzał postacie przypominające członków jego rodziny. Widział twarze ojca, matki, swojego brata i młodszych siostr. Po chwili ich twarze zniknęły, zostawiając na środku pola zniszczony wiatrak.

Julian dorastał w samotności i w traumie. Nie wiedział, co stało się z jego bliskimi, jednak był pewien, że to piorun, który uderzył w wiatrak, był przyczyną tego wypadku.

Kiedy chłopak dorósł, sprzedał wiatrak oraz część wsi rodzinie Wejherów. Za murowany wiatrak z drewnianymi, zniszczonymi skrzydłami, udało mu się zarobić niecałe 70 marek. Po wojnie, wyzwalając wieś od okupantów, osadzie nadano polską nazwę - Zdrzewno.

W dzisiejszych czasach wstęp do wiatraka jest zakazany, jednak przykuwa on uwagę wielu osób. Do dzisiaj wokół całej wioski rozciągają się pola, rosną dębowe, sosnowe i bukowe drzewa. Nie wiemy, czy nadal nie przebywają tam zagubione dusze całej rodziny Kunostowicz.

Wyróżnienie: Jakub Cholcha

godło: *Kuflik*

Legenda o Lęborskich żabkach

Dawno, dawno temu w dolinie, wśród wzgórz i lasów położone było miasto Lębork. W mieście tym nad rzeką znajdował się zamek, w którym mieszkała księżniczka o imieniu Anna. Księżniczka bardzo lubiła przyrodę. Przed zamkiem miała piękny ogród pełen roślin, który codziennie pielęgnowała.

Pewnego dnia, w trakcie przycinania krzewów, księżniczka zobaczyła żabę.

- Witaj żabko, skąd się tu wzięłaś? - zapytała Anna.

Żaba zarechotała i skocznymi ruchami oddaliła się w głąb ogrodu. Nazajutrz księżniczka poszła do ogrodu i pierwszym miejscem, do którego się udała, były krzewy, w których widziała żabkę. Ku zdziwieniu zamiast jednej żaby, była tam cała gromada.

- Dzień dobry, piękne żabki – powiedziały.

- Witaj piękna księżniczko - odpowiedziały chórem żaby.

- Co tu robicie ślicznotki? – spytała.

- Jesteś dobrą i miłą osobą, dlatego chcemy zamieszkać w Twoim ogrodzie - odpowiedziały jednogłośnie.

Księżniczka zdziwiona faktem, że żabki mówią ludzkim głosem, usiadła na trawie i zaczęła rozmawiać z nimi. Anna zaprzyjaźniła się z żabkami. Codziennie je odwiedzała, rozmawiała z nimi i zabierała je na spacer do centrum miasta. Pewnego bardzo upalnego dnia, w trakcie spaceru po lęborskiej starówce, żabki nagle zbladły. Anna szybko pobiegła po wodę, aby je trochę schłodzić. Niestety, upał był tak mocny, że gdy księżniczka wróciła z wodą, z żabek został tylko wysuszony pył. Annie zrobiło się bardzo przykro, że nie zdążyła uratować swoich przyjaciółek.

Aby uczcić pamięć o nich, w centrum miasta powstała fontanna z żabkami, która jest wizytówką Lęborka i do dziś nosi nazwę "Lęborskie żabki".

Legenda o Darii i Dariuszu

Długi czas temu, lecz nie wiadomo dokładnie kiedy, żyły sobie dwa lęborskie rody, które stale ze sobą rywalizowały. A nazywały się one Czarna Jasność i Biała Ciemność. Do pierwszej z nich należał król Jan wraz ze swoją córką, księżniczką Darią i wieloma rycerzami, którzy ochoczo brali udział w wszelkiego rodzaju bitwach. Natomiast do Białej Ciemności należała królowa Izabela oraz jej syn, książę Dariusz. Oni również posiadali swoją armię.

Rody te kłóciły się o mnóstwo drobnostek przez wiele lat. Daria często podpowiadała ojcu, aby zaprzestał inicjowania bitew, a Dariusz robił tak samo ze swoją matką. Lecz ona tak naprawdę nigdy nie rozpętywała wojen, sama chciała im zaprzestać, ale zwyczajnie nie potrafiła. Jak już się w coś angażowała, nigdy się nie poddawała.

Najciekawszą historią były losy księżniczki i księcia. Co drugi wieczór potajemnie spotykali się w lęborskiej Wieży Ciśnień, gdzie dużo rozmawiali na bliskie im tematy i poznawali się bardziej. Po ciekawych rozmowach wchodzili na najwyższy balkon, skąd oglądali przepiękne gwiazdozbiory i rozmyślali nad sposobem powiedzenia rodzicom o ich relacji. Byli przekonani, że nie zgodzą się na ich spotkania i srogo ich ukażą, mimo monotonnych błagań. Natomiast po godzinnych widowiskach na balkonie szybko wracali do miejsc, w których mieszkali.

Pewnego wieczoru, tak jak co drugi dzień, para spotkała się wśród roślinności Parku Chrobrego, a potem ruszyła w stronę Wieży. Daria odnosiła dziwne wrażenie, jakby miało to być ich ostatnie spotkanie. Bardzo nie chciała, aby ten moment kiedykolwiek nastąpił. Dariusz zauważył smutek malujący się na jej twarzy, dlatego pogładził ją delikatnie po jej czarnych włosach, czule objął ramieniem, po czym rzekł:

– Nie martw się, Dario. Wiem, że twój ojciec zapowiedział na jutro kolejną bitwę, ale trzeba mu o tym powiedzieć. Albo jutro, albo... Sam nie wiem. Nie chcę, żeby było za późno, rozumiesz?

– Tak – odparła ze łzami w oczach. – Ale ja po prostu boję się mojego ojca. Sam wiesz, jaki on jest. A ja nadal nie wiem, co robić. Każdej nocy myślę o tobie i o tym, że mogę cię któregoś dnia stracić. Że ktoś mi ciebie odbierze...

– Ale przecież wiesz, że tak nie będzie – po tych słowach pocałował ją w policzek.

– Chciałabym w to uwierzyć bez jakichkolwiek wątpliwości, lecz dzisiaj szczególnie nie potrafię. Boję się, że to nasze jedno z ostatnich spotkań – zapłakała, po czym wykrzyknęła ochoczo. – Zróbmy coś!

– Zrobimy – odparł z uśmiechem. – To, co zawsze.

I po tych słowach zaczęli się powoli wspinać na samą górę Wieży. Gdy dotarli, oparli się o barierkę, patrząc wysoko ponad siebie.

– Widzisz te wszystkie gwiazdy na niebie? – zapytał Dariusz po raz pierwszy, wskazując palcem na miliony błyszczących punkcików.

– Oczywiście – zaśmiała się lekko Daria.

– Jestem świadomy faktu, że ich miliony na zawsze tam pozostaną i będą świeciły do końca istnienia tego świata.

– Co masz na myśli?

– Że tak wielka jest moja miłość do ciebie. Ona również pozostanie na wieki w moim sercu.

– Jesteś taki romantyczny – odpowiedziała.

Po tych słowach oboje uśmiechnęli się szeroko i zaśmiali.

– Ja też ciebie kocham – wyznała, szepcząc.

Następnego dnia, o bardzo wczesnej porze, Daria postanowiła rozwiązać problem nielegalnego w oczach rodziców związku. Denerwowało ją ukrywanie ważnej części jej życia.

Udała się więc w stronę chatki mieszkającej w głębi lasu Czarownicy, która według opowieści ludzi była bardzo przerażająca, ale potrafiła wiele zdziałać za pomocą magii. Kiedy już znajdowała się tuż przed drzwiami, zapukała niepewnie. Na początku nikt nieotwierał, dlatego nieco się przerażała, natomiast później przy wejściu stanęła dość starsza kobieta. Miała bardzo ciemne włosy, wręcz odstraszać twarz, czarną sukienkę podartą na bokach. Tak jak mówili inni – wyglądała dosyć nietypowo.

– Dzień dobry – powiedziała niepewnie Daria.

– Och, witaj, kochanieńka! - wykrzyknęła złowrogo Czarownica. - Kim jesteś? I co cię sprowadza w me skromne progi?

– Właściwie to chciałam prosić o pewną przysługę...

– W takim razie chodź! - i poprowadziła Darię do wnętrza jej chatki. Jej głównym kolorem były ciemne odcienie zieleni i czerni, w wielu kątach można było zobaczyć jakieś tajemnicze mikstury, a pośrodku sali, do której Czarownica zaprowadziła księżniczkę, stał wielki garnek, w którym gotowało się coś wielkiego i ohydneho.

– Usiądźmy – zarządziła właścicielka chatki. - A teraz powiedz mi, co to za przysługa.

– Prawda jest taka, że zakochałam się w chłopaku, z którym nie mogę...

– Och, tyle już było takich przypadków! Jakies zaklęcie dopiero na to wymyślę, jeśli czymś się różni od innych, bo już mnie nudzą tradycyjne historie.

– On wcale nie jest zwyczajny – rzekła Daria. - Jest księciem z rodu, z którym ja i mój ojciec jesteśmy skłóceni. Właściwie to tylko ojciec, bo ja go...

– Wszystko rozumiem! - ponownie przerwała Czarownica. - Doskonale znam na to zaklęcie. Nawet nie trzeba niczego w garnku gotować – zaśmiała się.

– W takim razie, co mam uczynić?

– Nic! Idź do niego kiedy będziesz musiała, a sprawa sama się rozwiąże – powiedziała melodyjnym głosem, po czym zaśmiała się upiornie.

– Dobrze. Ja już będę...

– Do widzenia! I nie zapomnij wymalować swoich białych ust malinami na spotkanie z tym księciem!

Po tej konwersacji, Daria szybko wyszła z chatki i pobiegła w główną stronę Parku Chrobrego.

Gdy dotarła na miejsce, okazało się, że bitwa między dwoma rodami się już rozpoczęła.

Widziała na swoich oczach wielu umierających ludzi, ale najbardziej przejął ją widok...

– Dariusz! - krzyknęła, biegnąc z całych sił do leżącego kawałek dalej chłopaka.

Potrząsała jego ciałem, próbując wzbudzić w nim jakąkolwiek reakcję.

– Dariusz! Odezwij się do mnie! Proszę!

– Jesteś bardzo dzielna, Dario – ledwo otworzył oczy i powiedział swoim osłabionym głosem.

– Nawet na końcu tego świata będę cię kochał, gdziekolwiek znajdzie się moja dusza.

– Tylko nie to! Proszę!

Ale już Dariusz przymknął powieki i nie zareagował. Dziewczyna podlała ziemię ogromną ilością swych łez, a kiedy tak dalej nad nim klęczała, usłyszała donośny głos ojca:

– Powstrzymać walki! Rozkaz zatrzymania bitwy!

I wtedy podbiegł do niej wraz z królową Izabelą.

– Matko najdroższa! - wykrzyknęła. - Mój syn!

W tamtym momencie cała ich trójka nie myślała o niczym innym. Walki już nie były istotne. Tylko fakt leżącego na ziemi księcia, który był dla kogoś całym światem, a też dla kogoś innego po prostu osobą z rodu królewskiego.

Wtedy Daria zaczęła przeklinać Czarownicę, a ojciec ją zapytał:

– O co chodzi, kochanie? Jaka Czarownica?

Dziewczyna wszystko dokładnie wytłumaczyła królowi i królowej. A oni wspólnie powiedzieli:

– Nasza droga Dario, nigdy byśmy was nie wyśmiali.***

Po równych trzech latach, Daria przyszła powspominać dawne czasy z Darkiem. Pogodziła się z jego stratą, ale ciągle miała go w swoim sercu, które nie pozwalało zakochać się w innej osobie.

Stała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie się spotykali co drugiej nocy, lecz Wieży tam nie było. Pozostały po niej tylko małe ruiny, które w ciągu następnych lat zostały absolutnie zburzone.

Według wiadomości, Wieża Ciśnień została wybudowana w 1912 roku, lecz tak naprawdę bohaterowie tej legendy widzieli ją wiele, wiele lat przed tym. Kiedy już całkowicie została zniszczona, dopiero właśnie w tamtym roku ludzie zaczęli ją odbudowywać ze względu na opowiadania o tej historii ich przodków, a w 2019 i 2020 roku została odnowiona.

Wyróżnienie: Magdalena Wrońska

godło: wieczna_noc

13 - 15

Legenda o kaszubskiej księżniczce

Pewnego pięknego dnia księżniczka imieniem Samanta wybrała się na spacer, by nacieszyć oko nadmorską okolicą. Mieszkała ona na terenie dzisiejszego Gniewina, była i jest to do dzisiaj przepiękna okolica . Samancie brakowało zawsze miejsca, z którego będzie widziała całą okolicę, więc wchodziła na klify, co było dość niebezpieczne i nigdy nie podobało się jej ojcu.

Któregoś zwykłego dnia wydawałoby się, że wszystko będzie w porządku, lecz to, co miało się za chwilę wydarzyć, było dość przykre. Samanta jak zwykle wyszła na spacer, udała się na klif, lecz niestety upadła, a w jej oko wbiła się gałązka . Jej ojciec był bardzo zły z tego powodu i postanowił, że nigdy więcej nikt nie pójdzie na te klify, więc postanowił zbudować wieżę widokową, a na cześć jego córki nazwał ją Kaszubskim Okiem.